



Irena

Trzy kobiety, jedna tajemnica

Małgorzata

KALICIŃSKA

Basia Grabowska

Małgorzata Kalicińska
Basia Grabowska

IRENA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-21-1

Copyright © Barbara Agata Grabowska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Trzy kobiety, jedna tajemnica

SPIS TREŚCI

Płaczki
Niepłaczki
U Ireny
Bizneswoman
Ogarniam sprawy
Ja wszystko załatwię
Jasiek
W nocy
Dzień jak co dzień
W biurze i poza biurem
Moja córka? Nie moja?
Baw się
Kremacja Felka
Się integruję przecież
Pogrzeb i stypa
Lubię
Porządki
Babski wieczór
Serce matki
Kac niemoralny
Pawłacz
Myślę
Uparłam się, że wyparłam
Szkoła teatralna
Eksplozja
Złość
U Ireny
Skowyt
Nagły wybuch
Spa
Fotel u Gośki. Czyli lekarzu, lecz się sam
Czy w spa robią lifting duszy?
A niech was wszyscy diabli, jak powiedział Dulski

O co mi chodzi?
Prawdy życiowe przeróżne
Radek
Burza... hormonalna
Po godzinach
Krzywe kluski
Nie
I jeszcze to
Suzi i Travis
Karząca ręka sprawiedliwości
Zakochałam się
Akceptacja?
Niedziela
Szczera rozmowa
Spacer
Badania i burza
Powrót
Przygotowania
Odcięcie
Myślenie
Zmiana?
Co się dzieje, do licha?
Gips
Pan Bogdan
Układanka
Szpital
Zagubiona
Jak ma się coś popaprać, to się popaprze
Od serca
Rozmowa
Przed czwartą
A słowo...
Obsztorcowana...
Telefon

No to ustalone

Niedziela

Dwa e-maile. Pierwszy

I drugi

Dodatek – autorki o sobie nawzajem

Płaczki

Jagoda zadzwoniła do mnie, gdy byłam w sklepie i naciągałam na siebie w przymierzalni spodnie. Oczywiście za ciasne.

– Halo? – dyszę w słuchawkę po przeszukaniu dzwoniącej torby.

– Felek zmarł... – Moja córka tak ma, że żadnego „dzień dobry, mamó”, „cześć i czołem”, tylko z mety w konkrety.

Felek? Miała kiedyś ślimaka Felka. Duże amazońskie bydlę. Ma uczulenie na sierść, oczywiście ona – nie bydlę, i dlatego nie hoduje sierściuchów. Tłumaczyła mi, że ślimak nie ma mózgu, więc nie tęskni ani za nią, ani za wolnością, a mimo wszystko to żywina i dziewczynie jest miło, że po pracy nie wraca do pustego domu. Wraca do ślimaka bez mózgu. Obłąd.

– Felek? – dopytuję.

– Mamó! Dziadek Felek! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Gdzie jesteś?!

– O Jezu...

Felek. No jasne – Feliks, mąż Ireny. Irena to taka przyszywana babcia. Ma osiemdziesiąt pięć lat. Żwawa bardzo. Wychowała moją mamę. Znały się z podwórka, po wojnie obie zostały sierotami i Irena, jako starsza, mądra i ogarnięta, zajęła się małą, nieporadną i naiwną dziewczynką. Zresztą Irena matkowała wszystkim, chyba nawet w partyzantce miała pseudonim Matka. Życiowo bardzo dobrze osadzona, pragmatyczna i odważna, zawsze znakomicie sobie radziła.

Felek to jej mąż, a oni oboje, biologicznie nam obcy, są od lat naszą rodziną. Byli, bo – jak słyszę – Felek zmarł.

Odłożyłam te spodnie. Nie! To nie jest dzień na zakupy. Już miałam wyjść z przymierzalni, gdy pomyślałam – oj, no to kiedy? Jak się postaram, to się w nie zmieszczę! Mała dietka, więcej ćwiczeń... Taki rozmiar? I fajne. Kiedy ja ostatnio w taki rozmiar włożyłam? Przed wojną iracko-irańską? Dobrze, że teraz wszystko jest z lycrą. Naciągnęły się i nawet dopięły. I czarne są. Będą akurat na pogrzeb. Do tego jakaś tunika czy coś. I kapelusz! Koniecznie!

O Jezu, jaka ja jestem głupia. Myślę o spodniach i kapeluszu, a tam Felek stygnie. Dorota, weź się jakoś ogarnij! – zgańłam siebie.

Ze sklepu wyszłam ze spodniami i bardzo konkretnym planem zrzućcia kilku kilogramów – spodnie będą ładniej leżały. Zadam szyku!

Jadę do Ireny – ciotki Ireny – wdowy. Zaraz ma tam być Jaga. Tak rzadko się widzimy.

Wsiadłam do samochodu, włączyłam The Puppini Sisters. Co prawda nie bardzo to żałobne, ale... Nikt nie słyszy. A one są takie... wystylizowane na lata czterdzieste, że dziadek Felek, jak mnie teraz podgląda, to miło podryguje w rytm piosenek! Oj, był muzykalny, i czuły na kobiece wdzięki. Kochany Feluś!

Czemu ożenił się z kostywną Ireną? A kto to wie?

Przystojny, choć pod koniec życia plecy mu wygięło, postawny, szczupły, z falą gęstych siwych włosów nad czołem. Nadskakujący, dowcipny, no, kurczę, uroczy był. Czemu mu w głowie zawróciła taka angielska guwernantka? Mary Poppins? Maryla Cuthbert? Stara Zrzęda? Mój Boże! Nieznane są motywy miłosnych podbojów. Zakochał się, ożenił i może nie wypadało mu jej zostawić? Dzieci nie mieli. Ona całe życie w harcerstwie. To była jej działalność „podziemna”. Sprytnie przemyciała młodzieży idee harcerstwa przedwojennego i okupacyjnego. Pracowała... Zaraz, gdzie Irena pracowała?

Ano tak, była pielęgniarką. Na ortopedii męskiej w szpitalu wojskowym na Szaserów. Nie miała i nie ma charakteru siostry miłosierdzia, raczej kaprała. I długo jeszcze na emeryturze dorabiała zastrzykami i opieką nad ludźmi. A jakże!

Niestety to piątek i muszę się jakoś przedostać przez zatłoczone miasto. Nienawidzę tego. Ale spokojnie, jak ją znam, to jest nad wyraz dzielna, nie zanosí się od płaczu i nie mdleje.

– Jaguś, a ty skąd wiesz?

– Ja tu, mamó, jestem już, bo ciotka callnęła rano na komórkę.

– Czemu dopiero teraz dzwonicz? Dzwonicie... – spytałam rozdrażniona.

Poczułam się odsunięta. Jaga zawsze jest pierwsza w takich sytuacjach i pokazuje, jak to ona umie wszystko opanować.

Bo, kurczę... umie! Musiałam jej to w duchu przyznać. Skąd, po kim ona to ma? Zawsze tak doskonale zorientowana, co zrobić.

O! Kiedy jej kotka miała ciężkiego raka, to dziewczyna umiała pojechać w nocy na Grochowską, żeby zwierzaka uśpić. Jeszcze wtedy nie była uczulona na sierść. No... pojechała sama. I kiedy nasza suka miała „żółty zanik wątroby”, to Jaga poszła z nią do znajomego weterynarza, asystowała przy zabiegu i potem przez dwadzieścia godzin przy niej czuwała. Suka nie dała rady i zmarła. Córcia zadzwoniła po ówczesnego narzeczonego i razem zakopali psa...

– Mamó... bo tak, no! Ciotka zadzwoniła do mnie rano, do ciebie nie mogła się dodzwonić.

Prawda. Wczoraj zostawiłam telefon w samochodzie i tak tam leżał. Wzięłam go dzisiaj, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

O, faktycznie! Jest pięć połączeń od Ireny.

– Kotek, ja już jadę! – wołam w słuchawkę.

– No to jedź – odpowiada Jaga.

– Ale co, dziadek... tam jest?

– Właśnie go zabierają.

– A gdzie był?

– Mamó, ogarnij się! – Jaga się piekli, gdy nie rozumie mojego toku myśli. – Co to znaczy „gdzie był”?

– No, jak umarł? W domu czy może na ulicy... jakoś... czy co?

– W domu, w domu, we śnie.

– Piękna śmierć – wyrywa mi się.

– Poetka... – prychnęła Jaga. – Niezbyt piękna. Był sztywny i wyglądał obco. Tak... zżółkł. I nos mu się zrobił... duży.

Jak u Pinokia – przemknęło mi przez myśl. Głupio, wiem, że głupio, ale przemknęło. Zaraz sobie wykombinowałam: mąż Ireny skłamał, że umarł, i dlatego nos mu się... Boże, co ja sobie roję za głupoty!

– To widziałaś go? – drążę dalej.

– Mamó, halo! No pojechałam do bezradnej Ireny, dotknęłam go, nie wyczułam tętna, wezwałam pogotowie. Potem policja.

– Jezu! A po co policja? Było podejrzenie... zabójstwa?!

– Jakiego znów zabójstwa? Mamó, jak ktoś umiera w domu, to zawsze się woła policję. To znaczy nie wiem, czy zawsze, ale lekarz zawiadomił. – Wzdycha, jakby rozmawiała z przedszkolakiem. Znam ją, pewnie wznosi teraz oczy do nieba.

– Aaa – mówię.

Jest jesień, burzowe chmury wiszą nad miastem złowroźnie, pełne wody. Zaraz chluśnie. Samochody wloką się zatłoczoną arterią. Za chwilę skręcę w Żeromskiego i będę się wlokła do poprzecznej, na której mieszka ciotka Irena.

„Ciociu” to ja rzadko do niej mówię. Jakoś tak jest, że odkąd przestałam być dziewczątkiem, mówię „Irena”. Ach! Już pamiętam. Kiedy się urodziła Jaga, to Irena cholery jasnej dostawała na hasło „babcia”.

– No a kimże jesteś dla mojej wnuczki? – spytała Irenę z jawnym oburzeniem moja żyjąca wówczas mamcia. – Babcią!

– Sama jesteś babcią! Babcia Misia! Babuleńka! – szydziła Irena. – Ja nie jestem żadną „babcią”!

– No to jak Jagódka będzie do ciebie mówiła?

– Siostro – wtrącił dziadek Felek, chichocząc.

– A chcesz ścierką? – Irena zawsze tak gasiła Felka.

Kazała mówić sobie „ciociu” i Jaga tak mówi. Kiedy była maleńka, mówiła „Tota Ika”, ciocia Irka. Raz, gdy już dorosła, a Irena przestała farbować siwe włosy, spróbowała do niej rzec „babciu”. Irena uniosła się po aktorsku, jak to ma w zwyczaju, gdy chce ukryć prawdziwe oburzenie: „Jestem piękną młodą kobietą i nie waż się podkreślać mojego wieku! Dziuniu!”.

Dziadek zanucił „młoda, młoda, jak po Marcinie jagoda” i oberwał ścierką, a Irena odgarnęła siwe włosy i zrobiła wyniosłą minę.

Jaga nienawidziła tego zdrobnienia, „Dziunią” nazywała ją Irena szczególnie wtedy, gdy chciała być złośliwa, dopiec jej, ciut podrażnić.

Nie wtrącałam się. Te dwie doskonale się rozumiały od zawsze. Gdybym ja powiedziała do Jagusi „Dziuniu”, zasztyletowałyby mnie spojrzeniem albo warknęła coś niemilego, a Irenie było wolno! Tylko jej.

Nie byłam zazdrosna! Prawie wcale.

Ja byłam ulubienicą Felusia. Zresztą on kochał wszystkich!

Mieszkali na Żoliborzu. Niewielkie domki na Hajoty uchowały się jakoś po wojnie. Zajmowali tam z Felkiem od zawsze mieszkanko na parterze. Z wyjściem do miniogródka. Pokój z kuchniasalonem. Łazienka była w korytarzu, bo po wojnie wielkie mieszkanie parterowe podzielono na dwa mniejsze. Później sąsiedzi dogadali się z Ireną i Felkiem, zrobili wielki remont i każda rodzina miała swoją niewielką łazienkę. Ogródek od początku był przedzielony niewysokim murkiem ze sztachetami na półtora metra. Sąsiad miał trawnik z klombem i hortensje po bokach, wielkie i piękne jak spadochrony – Felek drzewka owocowe, krzaczki porzeczek, trochę róż, a na końcu, pod murkiem, kiedyś hodował... kury. Irena wznosiła oczy do nieba, ale rosoły z tych kur i potrawki gotowała. Miała kurze mięso nawet w kartkowych czasach.

Nie! W kartkowych Felek hodował nutrie!

Wmawiał nam, że futerko i zęby sprzedaje, a mięso wymienia z sąsiadem z innej ulicy na zajęcie. I tak wszyscy wiedzieli, że to błaga. Irena doskonale przyrządzała tę pieczeń z nutrii à la jagąc. Na dziko.

Ogród to był teren Felka. Irena nie zaglądała tam wcale. Nawet po natkę czy koperek wysyłała dziadka. Feluś wracał, niosąc koperek i jakiś kwiatek zazwyczaj. Wręczał jej z uśmiechem. Irka fukała „No, no i po co to? Czy ja to mam wsiekać do rosołu? Romantyk się znalazł!” i pakowała kwiatek do wazonika. Stawiała go niedbale koło zlewu, a Felek taszczył go zaraz na stół. Obiad jedli z kwiatkiem!

Mąż Irki miał styl. Rano układał swoje falujące włosy pod wiązaną z tyłu siatką. Nie znosił tych fal, ale i tak robiła mu się taka jedna ładna nad czołem. Miał staroświeckie maniery i śpiewał, śpiewał, nucił...

– Caruso z Bożej łaski – mruczała Irena.

A teraz Felka nie ma. Dziwne.

Zajechałam na Hajoty i weszłam do mieszkania Irki. To znaczy zostałam wpuszczona, bo Jaga ma swoje klucze. Ja – nie.

Ciotka wydała mi się... normalna. Tyle że nie w podomce. W swojej szarej bluzce i plisowanej sporej spódnicy z elany. Nienawidziłam jej. Spódnicy – nie ciotki. Była stara jak świat i taka sztywna. Nie do zdarcia, cholera jasna!

– Odczep się! – mówiła Irena, kiedy chciałam ją wyrzucić. – To znakomita elana. Doskonale się pierze i szybko schnie.

– Jest taka... szara, brzydka – próbowałam jej zohydzić spódnice.

– No, i wszystko do niej pasuje! – kończyła temat Irena.

Miała czerwony nos jak w czasie zaziębień i szkliste oczy.

Nic poza tym.

Chciałam ją objąć, jakoś tak... serdecznie, jak się powinno obejmować wdowy w geście współczucia, ale mi się wymiksowała sprytnie, nadstawiając tylko suchy policzek do cmoku.

Wpuściła mnie do salonu i pokazała krzesło przy stole.

– Chcesz herbaty? – spytała jak zawsze. – Dziunia rozmawia przez telefon – dodała.

– Nie, dziękuję. Jak się czujesz? – zapytałam ciepło i jak mi się wydawało, serdecznie.

– Jak, jak! – powtórzyła. – Nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Zieloną?

– Co zieloną? A tak, zieloną, i nie słodź mi. Jak to się stało? – Zamieniłam się w słuch.

Ciotka Irena popatrzyła na mnie z namysłem, poprawiła włosy – burzę siwych włosów, które po myciu i nakręceniu wałków wyglądały jak peruka.

Ileż ona ich ma! I jakie ładne! Mogłabym mieć choć połowę tego! – pomyślałam. Gdy byłam dzieckiem, Irena była zjawiskowo piękna, a brązoworude włosy układały jej się zawsze jak u Rity Hayworth. Jeśli miała dobry humor, pozwalała mi się czesać, gdy z mamą i ojcem składaliśmy im wizytę. Ojciec średnio to lubił, ale dwa, trzy razy w roku szedł potulnie na tę „wizytę”.

Iść z wizytą... Kto dzisiaj chodzi z wizytą? Nikt nie ma na to czasu ani ochoty.

Wtedy kupowało się goździki z „asparagusem” i wstążką w „cefalonie”, a też obowiązkowo ciastka w cukierni albo rurki z kremem i się jechało środkami miejskiej lokomocji „z wizytą”. Ubierano mnie ładnie, a ja zdychałam z nudów.

Chyba że dziadek pozwalał mi iść do ogródka. Tam bajdurzyłam sobie, wyobrażałam, że jestem elfem albo księżniczką tatarską, i wkładałam kwiaty we włosy. Później mnie wołano, otrzepywano z ziemi i piachu kolana i wracaliśmy.

Zimą ogród był zamknięty, a w wielkich balkonowych drzwiach tkwiły kłaki waty. I zimą, właśnie gdy nudziłam się podczas wizyty, Irena pozwalała mi się czesać. Dawała grzebienie, szpilki, wsuwki i mogłam się zabawiać jej lokami do woli.

A Felek zabawiał rozmową towarzystwo, śmiał się, żartował... Otrząsnęłam się z tego zamyślenia. O czym ja tu meandruję?! Popatrzyłam na Irenę. Jak ona teraz sama sobie poradzi? Nie płacze wcale. Dziwna jest. Mnie też jakoś nie do płaczu. Może nie całkiem zrozumiałam, że Feluś umarł?

Niepłaczki

Umarł. Umarł. Dziadek Felek. Umarł i go nie ma. Zgon. Koniec.

Powtarzałam to sobie w kółko, ale jakoś nie mogłam się rozplakać. Ja to jednak robot emocjonalny jestem. Umarł. Nie wróci. Jest siny i sztywny. Płacz, idiotko, no!!! Nic.

Sięgnęłam po papierosa. W zasadzie nie palę, chyba że się zdenerwuję. I czasem do alkoholu. Generalnie palenie mnie nie kręci i nie wciąga, ale... nie wiem, jednak uspokaja. To chyba efekt psychologiczny. Może ręce mają co robić, więc przestają drżeć, może rozbiegane myśli mają się na czym skupić. Bo przecież nikotyna raczej

podnosi ciśnienie, niż obniża. Nieważne. W każdym razie popalam, a teraz zdecydowanie jest taki moment, że można zapalić. Każdy by mnie usprawiedliwił, nie? W końcu to ja go znalazłam. To znaczy, technicznie rzecz biorąc, znalazła go Irena, chociaż nie do końca.

Zadzwoniła do mnie dziś na komórkę, a to bardzo dziwne, bo Irena, ciocia-babcia Irena, komórek nienawidzi i nie uznaje. Już wtedy powinnam była wyczuć, że coś jest nie tak, ale zamiast tego odebrałam jak showmanka skrzyżowana z buldożerem:

– Co tam, ciocia? Ktoś umarł, że dzwonisz na to szatańskie urządzenie?

A ciotkobabka Irena rzeczowo, jak to ona:

– Jaguś, dziecko... wiesz co? Właściwie to chyba Felek umarł...

Boże, jestem nienormalna i powinnam się leczyć. No jak tak można? Gryź ty się czasem w język, dziewczyno.

Ciocia powiedziała, że Felek się nie rusza i nie chce się obudzić. I nie wiedziała, co dalej, bo jak się okazało, że Felek nie wstaje, to zamknęła drzwi od pokoju, jakby fakt, że go nie widzi, mógł cokolwiek zmienić. Biedna moja! Zaćmiło ją, starą pielęgniarkę. Dobrze, że nie padła tam na zawał obok niego. Ale ja ją znam – nie padłaby. Nie ona. Irena nie płacze na filmach, nie miewa globusów i migren, nie dostaje palpacji nad rozlanym barszczem, nie omdlewa, widząc dziewczyny w miniówkach szerokości bandaża. Kobieta ze stali to mało powiedziane. Ale nawet stal ma temperaturę topnienia – i czułam, że dziś taka temperatura nastała.

Wybiegłam z pracy i pojechałam tam do niej. Jeśli to nie jest nagły wypadek, to co nim jest?

Dobrze, że mam klucze. Dostałam je od ciotki, gdy tylko skończyłam osiemnaście lat. „Przydadzą się” mówiła. „Kiedyś będziesz chciała siku, albo jak kofnę czy coś, wiesz. Trzymaj, Dziunia, na wszelki wypadek”. Korzystałam z tych kluczy nie raz – gdy impreza była do rana i wołałam się o danej porze w danym stanie w domu nie pojawiać, gdy chciałyśmy z Werą w ogródku, przy ukrywanym skrzętnie papierosie, opłotkować wszystkie te tematy, które były absolutnie nieprzeznaczone dla rodzicielskich uszu, gdy miałam okres i plama mi się zrobiła na spodniach w drodze do kina, gdy rodzice urządzali raucik i nie chciałam słuchać nocnych śpiewów wujka Mirka nad kielichem maminej nalewki. Albo gdy miałam referat do napisania. Felek aż przebierał nogami, żeby mi pomóc. Był mistrzem historii i właściwie pisał referaty za mnie, dyktował mi zgrabne zdania, wplatając w nie ciekawostki i dykteryjki, których nie powstydziliby się sam Szymon Kobyliński. No i tak sobie miałam te klucze – na wszelki wypadek. Tyle że takiego wszelkiego wypadku to ja się nie spodziewałam.

Tylko Irena może do mnie mówić „Dziunia”, to zdrobnienie od Jagody, mojego kretyńskiego imienia. Ja nie wiem, co mama brała, kiedy ją natchnęło na Jagodę – ekologiczne, neohipisowskie bzdety, przekleństwo... Na drugie mam Aneta i w sumie mogłabym się kazać tak nazywać, ale mam swoją godność i nie jestem celebrytką, żeby się bawić w pseudonimy. Wpisali mi tę całą Jagodę w dowodzie i trudno.

Ale Irena to urobiła po swojemu. Jest niesamowicie inteligentna i złośliwa, więc „Dziuniuje” mi raz na jakiś czas i obie wiemy, że to jest takie przymrużenie oka. Taka słodka szpila. Uwielbiam tę kobietę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI